

OŁEKSANDR KŁYMENKO
ORFEUSZ I SOŁOMIJA

PRZEŁOŻYŁ BOHDAN ŻADURA



Państwowy Instytut
Wydawniczy

Moja żona ma na imię Maria. Przyjechaliśmy do Łucka po studiach. Żona skończyła wydział filologiczny uniwersytetu żytomierskiego i uczy w szkole języka ukraińskiego i literatury. Ja pracuję w szkole muzycznej, w której kiedyś sam się uczyłem. Mamy dwie córki – Nadzieję i Myrosławę. Nadzieja skończyła Akademię Ostrogską i jest nauczycielką w gimnazjum w Równem, Myrosia zaś jest teraz w szóstej klasie. Żona z córką chodzą do szkoły razem – Maria uczy, Myrosia się uczy. Kiedyś z Marią chodziła tak do szkoły Nadia. Moja żona ma na imię Maria – to imię jest jak stworzone dla niej. Dobrze, kiedy imiona zlewają się z człowiekiem. Zawsze imponowały mi utwory muzyczne, których tytuły nie nadają się do przemianowania – których nawet sam Mistrz Nazw nie mógłby wyłuskać z tytułów danych im raz na zawsze. Istnieją setki „pieśni bez słów” i tylko nieliczne z nich są prawdziwymi „pieśniami bez słów”, wśród tysięcy „kartek z albumu” tylko pojedyncze utwory są prawdziwymi „kartkami z albumu”. Moja Maria jest prawdziwa.

Maria ma siostrę. Są bliźniaczkami. Siostra urodziła się pierwsza, rodzice nazwali ją Sołomiją. Moja żona nie mogła urodzić się pierwsza, ponieważ wtedy to ją nazwaliby Sołomiją. Nazwaliby ją cudzym imieniem, a wtedy i nasze losy ułożyłyby się inaczej. Ale Maria urodziła się po siostrze, żeby

nosić swoje imię. I żebyśmy mogli się spotkać w wyznaczonym czasie...

Stało się jednak tak, że najpierw poznałem Sołomiję...

Studiowaliśmy w kijowskim konserwatorium. Sola grała na skrzypcach, ja – na fortepianie. Mieszkaliśmy w akademiku przy Łukjaniwskiej, na Podolu, na wzgórzach. Za drogą naprzeciw akademika znajdował się tatarski cmentarz; dalej był ugó – latem porośnięty trawą, która jesienią wysychała, a zimą mumifikował ją śnieg; za ugiem wyłożona brukiem ulica Ołehiwska, wijąc się, zbiegała do Żytniego Rynku. Z akademika jechaliśmy tramwajem do stacji metra, tam wsiadaliśmy do wagonu, a wyłanialiśmy się później przed budynkiem z kolumnami – przed konserwatorium.

Słuchaliśmy jazzu, graliśmy *Mr. Paganini*. Dla Sołomii muzyka była sensem życia. Ona rozpuszczała się w muzyce, kiedy słuchała, a także – kiedy grała. Pokochałem ją również za miłość do muzyki. Ale łatwo kochać człowieka, który jest. Sola jednak, roztapiając się w dźwiękach, w nich się przemieniała. I wtedy jakby jej nie było. A ja zostawałem, nawet w chwilach wspólnego muzykowania, i czekałem na „powrót” Soli. Zanim poznałem Solę, myślałem, że i ja sam, improwizując, rozpuszczam się w muzyce jak cukier w wodzie. Nie wątpiłbym, że tak właśnie jest, gdybym nie spotkał Soli i nie dowiedział się, jak totalna bywa prawdziwa dyfuzja: dźwięki nabierają materialnych zarysów, natomiast ludzka cielesność staje się ambientem w duchu *Gymnopédies* Erika Satiego. Kochałem Solę i cierpiałem, wiedząc, że w miłości do mnie nie tonię tak jak w miłości do muzyki. I – wstyd się przyznać – byłem zazdrosny o jej miłość do jazzu. Cierpiałem, rozumiejąc własną niedoskonałość, ponieważ nie chcąc tego, w pewien sposób ściągałem Solę w dół. Przy niej – powiem to nawet tak – nie myślałem o muzyce. Sola o muzyce myślała zawsze.

Ale mimo wszystko w tamtych czasach kochałem Solę, a ona mnie. I kochaliśmy się, nie stosując antykoncepcji, bo

dzieci nas nie przerażały. To znaczy mnie nie przerażały dzieci poczęte z miłości – gwoli prawdy tak trzeba powiedzieć. Pierwszy raz spotkaliśmy się na korytarzu konserwatorium – tak pamiętała to Sola. Moja wiedza jest inna. Kończyłem pierwszy rok, ona zdawała egzaminy wstępne. Wychodząc schodami z podziemnego przejścia, zobaczyłem ją pierwszy raz. Szła ze skrzypcami. Na jej twarzy błąkał się uśmiech, jakby szła i widziała inny, bardziej świetlisty świat. Sola schodziła po schodach – z góry. Był letni dzień. Wchodziła w chłód podziemnego przejścia, a weszła w moją duszę.

Patrzyłem za nią, wiedząc, że poprowadziła mnie za sobą. Nie próbowałem jej dogonić, bo wiedziałem: ta dziewczyna nie zginie, bo nie mając takiego celu, złapała mnie jak wędkarz, który zarzuca wędkę; wiedząc, że jakkolwiek długa będzie żyłka i ilekolewiek będzie leciał w dal ciężarek, spławik określi miejsce, gdzie zostanie złapana ryba.

Tak też się stało. Tego samego dnia w konserwatorium znowu spotkałem Solę.

Zdziwiła się, kiedy ją zagadnąłem, ale się zatrzymała.

Najpierw rozmawialiśmy na korytarzu, potem weszliśmy do audytorium. Mówiliśmy o jakichś ogólnych sprawach, potem o muzyce.

Sola powiedziała:

– Wiesz, grałam w szkolnym zespole jazzowym.

Jej głos był wysoki i dźwięczny.

– Naprawdę?

Moje pytanie było niedorzeczne. Dziewczyna powiedziała, że gra jazz, czyli tak jest. Po co się upewniać? Ale jednak zrobiłem to i zdziwiłem się tym, co usłyszałem, bo też zajmowałem się jazzem.

– Naprawdę. Nasz kierownik, Tolik ze starszej klasy, występował z komsomolskim znaczkim na piersiach i trzymał trąbkę tak, jak młodzi leninowcy na obrazkach trzymają fanfary. Nie przypominał Armstronga: tamten był wesoły,

a Tolik na scenie miał głupkowatą minę – jak ty, kiedy usłyszałeś o zespole jazzowym. Wybacz! – Sola się roześmiała. – Tolik myślał, że swingować i maszerować na defiladzie to jedno i to samo. Grał tak głośno, że słyhać było tylko trąbkę. Doprowadzał nas do szału improwizacjami, w które wstawiał frazy z piosenek pionierskich. Grzmieliśmy jak w punkcie zbiórki złomu. Chociaż dość rytmicznie... Palisz?

– Tak.

Zapaliliśmy. Też opowiedziałem jej o swoim szkolnym jazz-bandzie, który z chłopcami nazwaliśmy Czwarte Skrzydło. Informacja, że i ja gram jazz, nie zdziwiła Soli. Rozmawialiśmy o Cortazarze, Hughesie, Parkerze, Gillespiem, polskich jazzmanach. Sola powiedziała, że jazz to preludium do większej muzyki. I zaczęła mówić o demonizmie Schnitkego, ascetycznych intonacjach Pärta, kosmicznym duchu Terteriana. Od jej egzaltowanej mowy, zdawało się, zmieniała się aura w pomieszczeniu. I w pewnej chwili, urzeczony tą opowieścią, wziąłem Solę za rękę. Nie jestem pewien, czy to zauważyła. Raczej nie. Zrobiło mi się wstyd: chwyciłem dziewczynę za rękę, wykorzystując jej nieobecność. Natychmiast ją puściłem. Opowiadając o swym uroczym jazzie, Sola naprawdę nie zauważyła przemocy, jakiej się dopuściłem w porywie nagłej miłości. Siedziałem i słuchołem, kręciło mi się w głowie: jazz był jednym ze strumieni, które wpływały do muzycznego oceanu, jaki szalał w wyobraźni tej niesamowitej dziewczyny, ale zakołysał mną.

– Jazzmani nigdy nie byli tradycjonalistami. Przełom każdego jest prawdziwy! Kierowali się na modalne światło. I Coltrane, i Davis, który nieraz sięgał po heroinę.

O jazzowych „potworach”, Johnie Coltranie i Milesie Davisie, powiedziałem nie ja – ale ona!

– Wiesz, postanowiłam na razie z nikim nie grać. Chcę wsłuchać się w siebie, usłyszeć swoją muzykę, żeby już więcej żaden Tolik mnie nie zagłuszał. Rozumiesz?

Kiwnąłem głową.

Sola opowiadała o swoim dzieciństwie i zajęciach z muzyki. Miała siostrę bliźniaczkę, Marię. W początkowych klasach kupiono im skrzypce. Arsenij Zinowijowycz – ojciec i po godzinach miłośnik muzyki Bacha i Telemanna – potrafił wyjaśnić dziewczętom, że skrzypce nie są mniej ważne niż lalki i stroje. I siostry w to święcie uwierzyły, ale Sołomija bardziej. Kiedy więc Maria po dziewiątej klasie wstąpiła do seminarium nauczycielskiego, jej siostra zdała egzaminy do szkoły muzycznej – też w Żytomierzu.

Sola opowiadała mi, że ucząc się w tej szkole, zawsze kładła futerał na szafie, bo chciała, żeby skrzypce górowały nad codziennym bałaganem.

– Dzisiaj tak mówię: „górowały nad codziennym bałaganem”. A kiedyś po prostu wydawało mi się, że lepszego miejsca dla skrzypiec niż na wysokiej szafie nie ma co szukać. Maria skrzypce kładła obok stołu. Słuchając muzyki, nigdy nie klaskała, nie wybuchała radosnymi okrzykami, jak robiłam to ja, gdy wyrażałam swój zachwyt melodyjnym zwrotem czy harmonią. Powściągliwość siostry mnie drażniła, a jej zrównoważenie wyprowadzało mnie z równowagi. Nawet coś jej powiedziałam z tego powodu. Obrażliwego, niestety.

Ona opowiadała o siostrze, a ja słuchałem, ale oprócz Sołomii nic dla mnie wtedy nie istniało, nie mogło istnieć. Była tylko Sola, i była obok. Maria – to imię sfrunęło z jej ust i zmieniło się w powietrze, niewidoczne, chociaż istniejące. Patrzyłem na Solę, byłem nią oczarowany. Nawet gdyby mojej świadomości dotknęły słowa o siostrze, mimo wszystko nie mógłbym sobie wyobrazić, że gdzieś żyje dziewczyna podobna do Soli jak dwie krople wody: motyl, którego pięknem się cieszysz, zawsze istnieje w pojedynkę, chociaż motyli jest tyle, ile bywa ich latem w ogrodzie botanicznym – wtedy najbardziej wyjątkowy egzemplarz staje się częścią zunifikowanego zbioru.

Siedzieliśmy w audytorium, drzwi były zamknięte. Było nas dwoje – i cieszyłem się Solą.

Słuchając, z jakim zapałem opowiada o muzyce, pomyślałem, że przynajmniej jedno z jej rodziców ma jeśli nie muzyczne, to humanistyczne wykształcenie – i się pomyliłem. Rodzice sióstr pracowali w gazownictwie: matka jako ekonomistka, ojciec jako inżynier. Oprócz tego ojciec dorabiał jako spawacz. Zawory na pomalowanych na żółto rurach gazowych i schowana w futeraliku skrzypcowa kalafonia nie krzesały w mojej wyobraźni iskry wzajemnej sprzeczności, więc dowiedziawszy się o zawodzie rodziców Soli, od razu pogodziłem się z faktem, że w pomieszczeniu gazowni można lubić nie tylko estradowe szlagiery. Założyłem, że nie taki surrealizm zdarza się w życiu, i wraz z tą myślą przyciągnąłem do audytorium, gdzie rozmawialiśmy, surrealistyczne i prorocze widzenie, które zapamiętałem...

Sola dzieliła się wrażeniami na temat muzyki Sylwestrowa i Kanczelego, a ja zachwiałem się jak od podmuchu wiatru. I zobaczyłem pod ścianą, koło okna, kontury stołu. Przy stole siedział mężczyzna o smutnej twarzy, której nie mogłem zobaczyć. To nie był Arsenij Zinowijowycz, o którym właśnie usłyszałem od Sołomii – z jakiegoś powodu byłem tego pewien. Patrząc na mężczyznę, domyśliłem się, że przeżył tragedię, która pozostawiła ślad w jego duszy i na twarzy. Nieznajomy, zrozumiałem, był literatem – akurat pisał. Nie widział mnie, ale to mnie nie zdziwiło: był przecież moją halucynacją. Jednak w myśli huknąłem do niego: „Hej!”. Człowiek nie zareagował. Ja natomiast na chwilę wypadłem z rozmowy. Sola zauważyła to i delikatnie szturchnęła mnie w bok – tak samo jak wcześniej szturchnął mnie mistyczny powiew. Drgnąłem, widzenie się rozwiało. Starłem się udawać, że wyraz nieobecności na mojej twarzy to skutek uważnego słuchania: na tyle wśliznąłem się w opowieść, umuzycznioną nazwiskami Sylwestrowa i Kanczelego, że

przystałem wysyłać rozumne impulsy na swoją twarz. Niby udało mi się zrehabilitować, jednak Sołomija poczerwieniała. I zrozumiałem dlaczego... Urzeczony widzeniem, przestałem kontrolować własne ciało: podbródek opadł, ramiona opadły, a mój wzrok, natknąwszy się na kolana Sołomii, przebiegł dwadzieścia centymetrów w górę, tam, gdzie boczne rozcięcie spódnicy obnażało nogę dziewczyny – i się zatrzymał. Usiłując dokrzyć się do nieznajomego, który pochylał się nad zwykłym notatnikiem, mimo woli doprowadziłem do sytuacji dość dwuznacznej.

Nie przypominam sobie, jak długa była przerwa w naszej rozmowie, ale historia z zagadkowym literatem miała ciąg dalszy.

Po miesiącu leżeliśmy z Solą w łóżku, wróciwszy spod prysznic, i paliliśmy. Papierosowy dym wił się w otwartym oknie. Zaschnięte plamki krwi na pomiętym prześcieradle zostały pod naszymi udami. Wtedy też opowiedziałem Soli o tragicznym nieznajomym, który ukazał mi się w czasie naszej dawnej rozmowy. Moje słowa z jakiegoś powodu zaniepokoiły Solę, aż w jej oczach pojawiły się łzy. Wspomnienie niedawnej cielesnej bliskości, które nawet nie zdążyło jeszcze stać się wspomnieniem, przemknęło mi przez głowę i przyćmiło inne domysły. Próbowałem objąć moją dziewczynę, ona jednak odepchnęła moją rękę i siadła na łóżku plecami do mnie. Na jej szyi, pod zebranymi w ogon długimi włosami, zobaczyłem małego brodawczaka.

Nie mogłem trafnie ocenić łez Soli, więc uznałem, że są związane z zaplamionym kropelkami krwi prześcieradłem...

Sola siedziała plecami do mnie i widziałem, jak papieros drży w jej palcach. Nie rozumiałem, dlaczego wspomnienie o pisarzu odbiło się dysonansem od czułych strun jej duszy – bo nie domyślałem się, że w ten sposób wtedy pierwszy raz zobaczyłem siebie – przyszłego autora *Orfeusza i Sołomii*. Zobaczyłem i zapomniałem o tym na lata. Tak jak zapomniałem